

UCZYĆ SIĘ HAUSA W NIGERII

Nina Pawlak

W 1985 roku grupa afrykanistów z Uniwersytetu Warszawskiego otrzymała stypendium rządu nigeryjskiego na staż językowy w Nigerii. Głównym celem było doskonalenie znajomości języka hausa. Wyjechałam z koleżanką z Zakładu Języków i Kultur Afryki i pięcioma studentami ostatniego roku studiów. W Nigerii wszyscy byliśmy studentami. Przybyliśmy z ciężkimi bagażami pełnymi wszystkiego, co mogło się przydać, i pełni przekonania, że jesteśmy dobrze przygotowani na spotkanie z Afryką. Spotkanie to nastąpiło w Lagos, w jednym z największych miast świata, o którym mówią, że składa się ze 150 wiosek połączonych autostradami z nowoczesną dzielnicą na miarę Manhattanu w środku.

Na lotnisku przyjęto nas jak delegację rządową. Oficjalne powitania, wizyta w ministerstwie, w ambasadzie, samochód do hotelu. Lagos, widziane z okien samochodu, wydaje się obce i nieprzyjazne. Wrażenie to potęgują opowieści o napadach, rabunkach i pobiciach. Swojsko i bezpiecznie jest za to wokół luksusowych hoteli, takich jak Federal Palace Hotel, gdzie na tarasach, w cieniu palm, nad przezroczystą wodą basenu czarni kelnerzy podają wspaniałe piwo. Tu jest oaza spokoju, luksusu, relaksu. Tu można popatrzeć na stroje, fryzury afrykańskich elegantek, pozostające w zgodzie z najnowszymi tendencjami mody światowej. Również panowie dają tu pokaz eleganckich garniturów; do tego często mają starannie przycięte spiczaste bródki, które całkiem udatnie upodabniają afrykańskie rysy twarzy do europejskich. Tu wszyscy mówią po angielsku.

Do spotkania takiej Afryki nie jesteśmy przygotowani. Czujemy się jak kopcuszki w naszych szaroburonijskich strojach, wprawdzie praktycznych, ale zupełnie nieefektywnych. Obiad jemy w restauracji hotelu Ikoyi, w którym mieszkamy. Szukamy w karcie potraw afrykańskich. Znajdujemy *tuwon shinkafa*. Wiemy, że powinien to być ryż (w języku hausa *shinkafa*) z mięsnym sosem (*tuwo*), czyli narodowe hausańskie danie. Kelner w milczeniu przyjmuje zamówienie oświadczając, że będziemy musieli poczekać około 20 minut. Czekamy. Po chwili przychodzi następny kelner i pyta: *Are you sure?* Potwierdzamy zamówienie i czekamy dalej. Kiedy pojawiają się zamówione porcje, wokół stołu stoi już chyba z dziesięciu kelnerów, którzy patrzą i nic nie mówią. Zabieramy się za jedzenie. Ryż jak ryż, ale sos pali przełyk i zupełnie nie wiadomo, jaki jest jego smak. Pochyleni nad talerzami, z oczami pełnymi łez, z czołem zroszonym potem, przełykamy w milczeniu ognistą potrawę. Okazało się, że do spotkania z afrykańskim jedzeniem też nie byliśmy przygotowani.

W Ambasadzie Polskiej w Lagos można zapomnieć, że się jest w Afryce. Okazały budynek, ogrodzony wysokim murem, sprawia wrażenie eleganckiej twierdzy. Podczas uroczystego spotkania z pracownikami ambasady, zorganizowanego z okazji naszego przyjazdu, odbywamy krótki kurs afrykanistyki nieakademickiej, a ściślej – wiedzy praktycznej o życiu codziennym w Nigerii. Przy kawie i torciku wedlowskim dowiadujemy się, że Nigeria jest bardzo dużym krajem, trzykrotnie większym od Polski, w którym do-

minują trzy główne grupy etniczne: Hausa, Yoruba i Ibo, rywalizujące ze sobą w życiu politycznym. Wiadomości o Nigeryjczykach są jak lekcja powtórzeniowa z przerabianego wcześniej materiału, natomiast te, które dotyczą Polaków, brzmią dość egzotycznie. Dowiadujemy się, że mieszkający tu Polacy (jak też inni biali) przestrzegają specjalnych rygorów dotyczących higieny, bezpieczeństwa, starają się też zapewnić sobie odpowiedni standard, pozwalający funkcjonować w warunkach tropikalnego klimatu. Zwracają dużą uwagę na to, co jedzą i piją. Zakupy robią w supermarketach, a nie na bazarach czy ulicznych straganach. Korzystają wprawdzie z wody, którą mają w kranach, ale ją filtrują, następnie gotują przez dziesięć minut i dopiero wtedy używają do potraw czy chociażby do mycia zębów. Pracują w klimatyzowanych biurach, jeżdżą klimatyzowanymi samochodami (najlepiej z nigeryjskim kierowcą, bo wówczas jest bezpieczniej), przed zmrokiem wracają do klimatyzowanych domów, zamykają się, zakładają kraty i tak toczy się ich codzienne życie.

Pracownicy ambasady mówili głównie o Lagos. Niewiele wiedzieli o tym, jak żyje się w innych rejonach Nigerii. Dziwili się tylko, po co polscy studenci (a zwłaszcza studentki) wybrali się w takie odległe rejony. Byli szczerze zatroskani, jak sobie dalej poradzimy, ponieważ ich doświadczenia wskazywały, że Afryka może być niebezpieczna. Optymistyczna była tylko wiadomość, że w Zarii mieszka całkiem spora grupa Polaków.

*

Samolotem z Lagos do Kaduny, potem taksówkami do Zarii. Na Uniwersytet docieramy w piątek późnym wieczorem. Najgorsza pora, żeby cokolwiek załatwić lub nawet spotkać kogoś, kto mógłby udzielić informacji. Na rozległym uniwersyteckim kampusie pusto. O tej porze nie pracuje już administracja, a strażnicy przy bramie nie potrafią powiedzieć, kto mógłby nam pomóc. Kręcimy się po uliczkach kampusu, zatrzymujemy napotkanych ludzi, ale nikt nic nie wie. Wreszcie zatrzymuje się obok nas volkswagen, wysiada z niego biały i mówi po polsku: „Dzień dobry!” Odpowiadamy mu prawie krzykiem, zmęczeni, głodni, ale bardzo uradowani, że nareszcie zaświtała nadzieja na zakończenie tej męczącej podróży.

Nasz zbawca przedstawia się jako Bartek i prowadzi nas do prywatnej rezydencji szefa administracji uniwersytetu. Registrar, czyli po hauszańsku *rajista*, jest młodym, może 30-letnim mężczyzną o miłym uśmiechu i łagodnym spojrzeniu, ubranym w tradycyjne hauszańskie szaty. Wita nas bardzo ciepło i zaprasza do salonu. Zajmujemy miejsca w skórzanych fotelach wokół małego, niskiego stolika. Dokucza nam zmęczenie, chcemy przede wszystkim wiedzieć, gdzie będziemy zakwaterowani. Registrar wydał stosowne zarządzenia, ale na rezultaty musimy trochę poczekać. Jest czas na rozmowę. Odpowiadamy na pytania o to, skąd jesteśmy, jak minęła podróż, jak nam się podoba Nigeria. Mniej więcej po godzinie służba podaje herbatę. Czujemy się pokrzepieni, rozmowa staje się bardziej ożywiona. Rozmawiamy trochę po angielsku, trochę po hausa i gospodarz wcale nie jest zdziwiony, że przybyliśmy z odległego kraju studiować jego język. Po pewnym czasie zmęczenie daje znów znać o sobie. Już dwie godziny siedzimy w miękkich fotelach, bagaże stoją przed domem, a my ciągle rozmawiamy o tym, ile dzieci ma

przeciętna rodzina w Polsce, kiedy dziewczyna wychodzi za mąż i o innych podobnych sprawach. Registrar jest swobodny, uśmiechnięty, zrelaksowany, w pewnym momencie zamyśla się, zamyka oczy, wydaje się, że śpi. Zapada cisza. Po kilku chwilach wraca do przerwanej wypowiedzi, oświadczając z uśmiechem równie ujmującym jak poprzednio: „U nas mężczyzna może mieć tyle dzieci, ile chce”.

Pokój w akademiku to dwa żelazne łóżka z materacami, dwa krzesła i stół. Jak to dobrze, że w bagażach jest prześcieradło. Dobrze, że jest tam również kawałek suchej kielbasy z Polski. Stypendium dostaniemy dopiero w poniedziałek, a do poniedziałku musimy jakoś przetrwać. Jest bardzo gorąco, a do tego kurz niesiony powiewem harmattanu wisi w powietrzu jak gęsta mgła i wdziera się we wszystkie zakamarki. Teraz wiemy na pewno, że jesteśmy w Afryce.

*

W Zarii odzyskujemy poczucie harmonii odpowiadającej naszym wcześniejszym wyobrażeniom o Afryce. Tym łatwiej nawiązujemy kontakty z młodzieżą, z kadrą uniwersytecką, z ludźmi na ulicy. Chodzimy pieszo po terenie należącym do uniwersytetu, zaglądamy do okolicznych wiosek na targowiska, jeździmy lokalnym minibusem do Zarii. Dość szybko rozchodzi się wieść, że przyjechał biały student z sześcioma dziewczynami. To właśnie nasz jedyny kolega cieszy się największym zainteresowaniem. Studenci odwiedzają go tłumnie w akademiku, przychodzą nawet w środku nocy, żeby zapytać, czy śpi i jak się czuje, pytają o dziewczyny, które z nim przyjechały, podobno nawet proponują całe pole kukurydzy za jedną z nas. Jest wesoło, dowcipnie i miło, jednak odczuwamy odrobinę niepewności, czy te żarty w jakimś momencie nie będą uznane mocą lokalnego zwyczaju za prawdę. Na szczęście wszystko się mieści w granicach obyczajów studenckich.

Studenci zatrzymują też nas na kampusie, żeby się przywitać. Tu przechodzimy pierwszy poważny sprawdzian znajomości języka. Pytają o zdrowie, o pogodę, o zmęczenie i o inne stany ducha, zadają pytania jedno po drugim, a my trochę gubimy się w zapewnieniach, że dobrze, w porządku, bez problemu. Grzebiemy w pamięci, szukając odpowiedników, których uczyliśmy się na samym początku naszego kursu, a ponieważ nie mieliśmy okazji tak często pozdrawiać się po hausa w Polsce, dużo już zapomnieliśmy. Egzamin nie wypadł dobrze. Koledzy nigeryjscy kiwali zyczliwie głowami i dawali nam do zrozumienia, że jeszcze sporo przed nami. Musiało minąć wiele tygodni, kiedy na te wszystkie powitalne pytania odpowiadaliśmy bez zająknięcia, a nawet bez zastanawiania się, co naprawdę chcielibyśmy odpowiedzieć.

*

„Dzień dobry” tłumaczy się w języku hausa na wiele sposobów. Wertując słowniki i gramatyki, utworzymy całkiem poprawne wyrażenie *rana mai kyau* i będzie to rzeczywiście znaczyć tyle, ile potrzebujemy powiedzieć o dobrym dniu. „Dzień dobry” używane w pozdrowieniach ma wiele odpowiedników. Aby go właściwie (czyli grzecznie) użyć, trzeba wziąć pod uwagę, z kim chcemy się przywitać, w jakiej sytuacji, o jakiej porze

dnia czy nawet w jakim celu. W zależności od tego wybieramy najwłaściwszą formułę powitalną.

Możemy zacząć od dość poufałego *sannu*, od zupełnie neutralnego *barka* czy uniżonego *assalamu alaikum*. To ostatnie zostawmy raczej muzułmańskim tradycjonalistom. Już wstępna formuła powitalna definiuje okazję do spotkania. Może to być spotkanie przy pracy (powitanie rozpoczniemy od *sannu da aiki* lub *barka da aiki*), powitanie gościa (*sannu da zuwa*) lub po prostu wskazanie pory dnia (jeśli jest rano, będzie to *barka da safe*, jeśli południe – *barka da rana*, jeśli wieczór – *barka da yamma*). Dobrze jest również wymienić przy tej okazji imię rozmówcy lub chociażby użyć jednego z określeń odpowiadających naszemu pan/pani (*malam/malama*). Jeśli witamy osobę w jej własnym domu, zwracamy się do niej *maigida* (gospodarz/gospodyni).

Po takim wstępie grzecznie jest zapytać: „czy dobrze się spało?”, zwłaszcza jeśli spotkamy się rano (*ina kwana?*) albo „czy już dokuczka zmęczenie?”, gdy jest nieco później (*ina gajiya?*). Poza tym możemy pytać o zdrowie (*lafiya*), o pogodę, w tym konkretnie o wiatr (*iska*) czy upał (*zafi*), o pracę (*aiki*), o przyjaciół (*abokai*), no i koniecznie o rodzinę (*iyali*), oddzielnie o żony (*mata*), dzieci (*yara*) i innych domowników. *To, madalla*, możemy obwieścić w podsumowaniu i wyrażamy wówczas naszą radość, że mogliśmy o to wszystko zapytać.

Odpowiedzi są również zróżnicowane, chociaż wcale nie dowolne. *Yauwa* – to odpowiedź dobra na każde pozdrowienie, ale najlepiej uzupełnić ją jeszcze inną formułą powitalną, jak w *Yauwa, sannu!* czy *Yauwa, barka kadai!* Natomiast na każde konkretne pytanie postawione w dalszej części powitalnego dialogu odpowiedzią może być *lafiya!*, co oznacza „w zdrowiu”, ale również „dobrze”, „w porządku”, podobnie jak *da godiya* czy *sai alheri*. Na pytanie o zmęczenie odpowiedź powinna być przecząca (*ba gajiya*), nawet jeśli jesteśmy utrudzeni do granic wytrzymałości. Całą taką wymianę zdań kończy *to, madalla* albo *shi ke nan* i jest to znak, że powitanie zakończone, można zacząć rozmawiać o konkretnych sprawach albo na tym zakończyć całą pogawędkę i umówić się na następne spotkanie, które może być za chwilę (*an jima*), jutro (*gobe*), a może po prostu któregoś dnia (*wata rana*).

Rozmowa ze znajomym na ulicy może mieć następujący przebieg:

- *Sannu, malam!*
- *Yauwa, sannu!*
- *Kana lafiya?*
- *Lafiya lau.*
- *Ina aiki?*
- *Aiki da godiya.*
- *Ina iyali?*
- *Sai alheri.*
- *To, madalla. Sai an jima.*
- *Yauwa, sai an jima.*

Pozdrowienia hausańskie są optymistyczne, odpowiedzi na pytania – zawsze dobre i pozytywne, niezależnie od faktów odpowiadających rzeczywistości. Nie jest to wymiana informacji, raczej manifestacja więzi międzyludzkich, grzeczności i poszanowania okazanego tym, z którymi rozmawiamy.

W Zakładzie Języków Nigeryjskich i Afrykańskich, z którymi byliśmy związani umową stypendialną, też zaczynaliśmy od powitań. Tu jeszcze musieliśmy sobie przypomnieć, które „dzień dobry” jest grzeczniejsze, aby można go było użyć wobec grona pracowników. Ci, widząc nasze zakłopotanie, pospieszyli z *Barka da zuwa* (witajcie) i dalej było już prościej.

Prawdziwy kłopot sprawiliśmy gospodarzom, wymieniając nasze imiona i nazwiska. Hausańczycy przywiązują dużą wagę do tego, aby zapamiętać imię przedstawionej osoby i używać go w trakcie rozmowy jako grzecznej formy zwracania się do niej. Ale Katarzyna, Małgorzata czy Jacek było dla nich obce fonetycznie i zbyt trudne do wymówienia. Trzeba więc było przejść ceremonię nadania nam hausańskich imion. Asia została Aiszą, a mnie zaszczycono imieniem Aminy, sławnej królowej Zarii sprzed wieków. Tam, gdzie zabrakło dźwiękowych skojarzeń, odwoływano się do dnia narodzin. Talata – urodzona w środę, Danladi – urodzony w niedzielę. W ten sposób odbyła się immatrykulacja na gruncie towarzyskim i od tej pory byliśmy znani pod nowymi hausańskimi imionami.

Po długich ceremoniach powitalnych i prezentacjach, w trakcie których poznaliśmy pracowników i studentów nigeryjskiej hausanistyki w Zarii, przyszedł czas na posiedzenie robocze. Kierownik zakładu, prof. Dalhatu Muhammad, chciał wiedzieć, czego chcemy się nauczyć, jakie mamy zainteresowania i co wiemy o języku i kulturze Hausa. W tej rozmowie zupełnie zaskoczyliśmy pana profesora. Studenci mówili o swoich pracach magisterskich na tematy literackie, historyczne, językoznawcze. W hausa przedstawiali swoje dotychczasowe materiały, mówili o kronikach historycznych, o interpretacji przysłów, o roli partykuł w języku. Do mówienia na takie tematy studenci byli bardziej przygotowani niż do wypowiadania kilku prostych słów o pogodzie. I tego nie mogli zrozumieć nasi hausańscy rozmówcy.

*

Uniwersytet Ahmadu Bello jest chlubą Północy, a nawet całej Nigerii. Na ogromnej przestrzeni, której miarą jest 10-kilometrowy mur ciągnący się wzdłuż głównej drogi prowadzącej z centrum Zarii do Samaru, zbudowano wielki kompleks akademicki. Obok budynków naukowo-dydaktycznych są tu pomieszczenia administracyjne, akademiki, biblioteki, stołówki, sklepiki, kluby, boiska, baseny, kościoły, przychodnie, szkoły, domy mieszkalne. Pracownicy i studenci mają tu wszystko, co jest potrzebne do funkcjonowania w środowisku akademickim. Należałoby jeszcze wspomnieć o tarasach, podcieniach, skwerkach, alejkach, obsypanych kwieciami krzewach, starannie utrzymanych klombach; stwarza to wrażenie parku, po którym niekiedy buszują kozy, czyniąc niemałe spustoszenia. Elementem więzi miasteczka akademickiego ze środowiskiem lokalnym jest targ w Samaru, ożywający każdego wieczoru tuż pod bramami uniwersytetu.

Studenci mieszkają w małych osiedlach i gdyby nie przypisane im nazwy (Sulaimanu Hall, Ribadu Hall), można by mieć kłopoty z odróżnieniem jednego od drugiego. Takie są akademiki męskie. Część przeznaczona dla dziewcząt jest zupełnie inna. Ogromny, ponad dwumetrowy mur oddziela ją od całej reszty kampusu. Wejście jest strzeżone przez strażników, którzy pilnują, aby żaden mężczyzna nie wszedł na teren zarezerwo-

wany wyłącznie dla studentek. Nasze próby zaproszenia kolegi do przydzielonej nam części akademika nie powiodły się, a jeden żart, wymyślony naprędce, gdy na całym kampusie zgasało światło i zapanowała ciemność, omal nie zakończył się surową karą. Kolega przemknął się nie zauważony, ale czujne nigeryjskie sąsiadki natychmiast doniosły strażnikom o obecności mężczyzny. Obława była całkiem poważna, droga na komisariat w towarzystwie uzbrojonych policjantów też nie zapowiadała nic dobrego. Uratowało nas chyba składanie wyjaśnień w języku hausa, a argument, że mamy właśnie święto narodowe, trafił do przekonania i usprawiedliwił nasz wybryk.

Z dziewczętami mieszkającymi na terenie osiedla żeńskiego nie udało nam się nawiązać bliższych kontaktów. Tylko kilka razy odwiedziły nas sąsiadki. Wśród nich – Gloria, pochodząca z odległego stanu Cross River. Mówiła, że studiującym dziewczynom nie jest łatwo. Już ojciec przestrzegał ją przed kłopotami; ponieważ jest ładna i towarzyska, więc na pewno przylgnie do niej etykieta, że zadaje się z chłopakami. Gloria nie nosi zbyt ładnych czy drogich strojów, żeby nie wywoływać podejrzania, iż utrzymuje ją bogaty *alhaji*. Chce być niezależna i samodzielnie decydować o swoim życiu. Kiedy będzie wychodzić za męża, przysłyż mąż nie wniesie opłaty małżeńskiej pieniędzmi. Gloria nie chce czuć się sprzedawana. Już wszystko z ojcem uzgodniła i nawet oficjalna cena ustalona w nairach nie wchodzi w rachubę. Co innego tradycyjne orzechy kola, te oczywiście muszą być.

Pewnego dnia poznałyśmy Reni, studentkę pedagogiki. Była córką władcy niewielkiej grupy etnicznej Owe w stanie Kwara. Wysoka, szczupła, prosta jak trzcina, z mnóstwem warkoczyków upiętych fantazyjnie na czubku głowy, miała tak bezpośredni i naturalny sposób bycia, że szybko przełamała bariery, którymi w jakiś sposób byliśmy odgradzone od nigeryjskich koleżanek. Reni miała dar prowadzenia konwersacji na każdy poruszany temat, nie odpowiadała tylko „tak” i „nie”, jak większość jej koleżanek, więc szybko zdobyła naszą sympatię i była dość częstym gościem w naszym akademiku.

Pewnej niedzieli Reni wpadła do mojego pokoju i zdecydowanym głosem oświadczyła, że jedzie do Yaji i zabiera mnie ze sobą. Miałyśmy wrócić przed wieczorem. Chwilę się wahałam, ale ciekawość zwyciężyła. Jechaliśmy ponad godzinę minibusami, przesiadając się dwukrotnie na skrzyżowaniach tras. Niewielkie autobusy mieszczące teoretycznie 7-8 osób, a zabierające przynajmniej 10, kursują na stałych trasach dość często, więc na przesiadkę nie czeka się długo. Autobusy nie mają ani numerów, ani tabliczek z oznaczeniem trasy, po prostu przez okno wychyla się pomocnik kierowcy i woła: Kaduna, Samaru, Zaria-Stare Miasto – i wszyscy wiedzą, czy wsiadać, czy nie. Reni nie chciała mi powiedzieć, po co jedziemy tak daleko, a ja po przesiadkach straciłam orientację, gdzie się znajduję.

Miejscowość, do której przyjechaliśmy, była niewielka, ale odróżniała się od typowych nigeryjskich osad rozległym osiedlem domków jednorodzinnych. Zajmowała je kadra wojskowa, głównie oficerowie lotnictwa. Właśnie tutaj mieszkał brat Reni, którego miałyśmy odwiedzić. Wizyta nie była zapowiedziana. Drzwi otworzył nam służący; powiedział, że gospodarz niedługo wróci. Niewątpliwie Reni bywała często gościem tego domu. Nie czekając na brata, zajęła się poczęstunkiem, sięgając do lodówki, a następnie zaproponowała obejrzenie zdjęć z rodzinnych albumów. Były tam głównie zdjęcia jej

brata. Na jednym z nich był on w towarzystwie pierwszej żony i dzieci. Jak wyjaśniła Reni, mieszkają oni w Lagos. Na drugim brat był z drugą żoną i dzieckiem. Ci mieszkają w Jos. Nie było zdjęcia żony mieszkającej w Yaji. Poczulałam się trochę nieswojo. Zaproponowałam Reni powrót do domu.

Żadna z dziewcząt, które chciały z nami utrzymywać bliższe kontakty, nie była mużłanką. Trochę zastanawialiśmy się nad tym faktem, próbując szukać wyjaśnienia. Część z tych dziewcząt spotykałyśmy na zajęciach. Były one mało aktywne, siedziały cicho, często gdzieś w tyle, a jeśli rozmawiały, to tylko ze sobą. Zachowywały się bezszelestnie, nawet mówiły do siebie szeptem. Te same dziewczyny spotkane na terenie akademika były zupełnie inne. Rozmowne, czasami wręcz hałaśliwe, urządzały na otwartej przestrzeni pranie, gotowanie, czesały włosy, robiły poranną gimnastykę, wyraźnie czuły się przy tym swobodnie, bezpiecznie, być może tak samo jak w tradycyjnym hausanckim domostwie, gdzie kobieta ma swoje odrębne pomieszczenie, a na terenie wspólnego, ogrodzonego murem *gida* toczy się normalne, codzienne życie, do którego obcy mężczyzna ma wstęp wzbroniony.

Wieczorem spotkać można wielu znajomych na targu w Samaru. Prosto z patelni podają tu świeże placuszki z fasoli czy kulki z prosa. Ale największym powodzeniem cieszy się *suya*, szaszłyk z wołowego mięsa, opiekany nad ogniskiem, pachnący całą gamą przypraw, podany ze świeżą cebulą. Nie przeszkadza nawet to, że jest zawinięty w gazetę. Nasz pobyt w Zarii przypadł na te czasy, kiedy można było dostać *suyę* zawiniętą w "Życie Warszawy". Należałoby ten fakt uznać za przykład wtórnego obiegu polskiej prasy, która docierała na kampus ABU Zaria.

*

Zgodnie z ustaleniami każde z nas otrzymało opiekuna naukowego, odpowiednio do deklarowanych zainteresowań i mogło chodzić na dowolnie wybrane zajęcia prowadzone w języku hausa. Kierunek „hausanistyka”, jak każda rodzima filologia, jest tym obszarem, gdzie pielęgnuje się tradycję, obyczaje, symbole własnej kultury. Nie oznacza to wcale, że jest to kuźnia regionalnego nacjonalizmu. Można raczej mówić o wyraźniejszych niż gdzie indziej kontrastach, typowych dla wieloetnicznej Nigerii. Już sam fakt prowadzenia zajęć na wyższej uczelni w języku hausa wyróżnia ten kierunek spośród innych, na których w dydaktyce używa się angielskiego. Współistnienie dwóch języków nie jest jednak problemem funkcjonowania uczelni. Podobnie jak w porozumiewaniu się na co dzień, wybór właściwego kodu jest nieomal automatyczny, odpowiedni do sytuacji. Kiedy wykładowcy prowadzącemu zajęcia w języku hausa przeszkadza hałas dochodzący spoza sali, otwiera drzwi i mówi: *Do not disturb, please*, i zaraz potem ponownie używa hausa. Nie oznacza to wcale, że hausa jest zarezerwowany, jak język obcy, do określonych zajęć. Na spotkaniu u rektora rozmowa toczy się w języku hausa, nie mówiąc o innych miejscach na uczelni, gdzie całkiem oficjalne kontakty w sposób naturalny opierają się na tym języku.

Niektóre zajęcia rozpoczynają się od sprawdzenia listy obecności. Audu Muhammad, Aliyu Dauda, Sani Aliyu, Muhammad Audu. Dominują imiona mużłmańskie, których kombinacje w żaden sposób nie odróżniają imienia od nazwiska. Jedno z nich jest wła-

ściwym imieniem, a drugie imieniem ojca, rzadko jednak pojawia się między nimi człon *yaro* (syn), który pozwalałby wyróżnić założyciela rodu. Niektóre połączenia imion uwzględniają jeszcze dziadka, tak jak w wypadku Bello Sodangi Yaro Al-Hassan. Jego dzieci, Abdulgafar i Balbasa, będą miały w drugim członie Bello i takie będzie ich nazwisko. Nazwiskiem może też być nazwa miejscowości, jak np. Malumfashi, Katsina.

Wśród zajęć oferowanych studentom hausanistyki jest socjolingwistyka. Nie bez zdumienia odkrywam, że zagadnienia dotyczące wielojęzyczności dobrze ilustrują przykłady z Europy. Analizowane są modele funkcjonowania państwa, w którym mówi się kilkoma językami, jak w Szwajcarii, Francji, Belgii, a przede wszystkim w krajach byłego Związku Radzieckiego. Studenci dowiadują się o fryzyjskim, flamandzkim, litewskim. Jestem proszona o zreferowanie sytuacji socjolingwistycznej Polski. Mówię o języku polskim jako o powszechnie obowiązującym; niedowierzanie studentów wymusza informację o kilku językach mniejszości narodowych, a całość zamyka dyskusja, w której padają pytania:

- W jakim języku prowadzi się u was naukę w szkołach?
- W jakim języku zapisana jest konstytucja?
- Jakiego języka używa się w telewizji?
- W jakim języku są gazety?
- W jakim języku pisarze piszą książki?

Na wszystkie takie pytania odpowiadam: „po polsku”. Kiedy lista pytań wyczerpuje się, pada jeszcze jedno: „Czy to znaczy, że wszystko, co robicie, robicie tylko dla siebie?” Hausańscy studenci szukali w językowym obrazie Polski takiego środka komunikacji, który łączyłby nasz kraj ze wspólnotą międzynarodową, języka takiego, jak angielski w Nigerii. W świetle przedstawionych faktów sytuacja Polski wydawała się im co najmniej dziwna.

*

Nasza ciekawość dworskich obyczajów nie mogła być powodem wystarczającym, żeby dostać się na dwór hausańskiego władcy *sarki*, ale już osobiste wstawiennictwo zaprzyjaźnionych z emirem Zarii Polaków pozwoliło wyznaczyć dzień wizyty.

W piątkowe południe zjawiamy się w pałacu Alhaji Shehu Idrisa Drugiego, emira Zarii. Pałac wyróżnia się na tle okolicznych budowli wysokością i bogatą ornamentyką ściany frontowej. Już po przekroczeniu bramy wejściowej czujemy podniosłą atmosferę. Wymieniamy formuły powitalne z przedstawicielami dworu. *Lafiya, lau; da godiya, sai alheri* – słyszy się najczęściej w odpowiedzi na zadawane pytania o zdrowie, o pogodę, o studia. To nie wymiana informacji, to rytuał. My jesteśmy przejęci, ale i dworzanie są ożywieni, prowadząc z nami konwersację w języku hausa.

Po powitaniach w części recepcyjnej pałacu jesteśmy wprowadzeni do sali przyjęć, gdzie czeka na nas emir – *sarkin* Zarii. Kolejna wymiana formuł powitalnych. Zajmujemy miejsca w fotelach ustawionych wokół ogromnej sali. Po prawej stronie emira siedzą trzej członkowie jego świąty. Przed nim, w odległości kilku metrów, klęka dworzanie, który nas wprowadził.

Sarki siedzi na tronie. Jest ubrany w tradycyjne szaty, na głowie ma biały turban przytłaczony złotą nitką. Na nogach białe skórzane pantofle. Pozostali członkowie dworu są

boso. Można powiedzieć, że jesteśmy w innym świecie. Jednak i tu tradycja miesza się ze współczesnością. Dworzanie mają zegarki elektroniczne na rękach, na stoliku stoi telefon.

Rozmowa staje się bardzo bezpośrednia, a nawet poufała. Niewiele brakowało, by padły pytania o to, jak władca czuje się na tronie, ile ma żon, dzieci, konkubin, niewolników. Do zadawania takich pytań prowokowało żywe, wesołe spojrzenie, a nawet filuterny uśmiech emira. Na szczęście nikomu nie przyszło do głowy naruszyć dobrych obyczajów dworskich i rozmowa dotyczyła tematów bardziej neutralnych. Przy pożegnaniu tylko nasz jedyny kolega dostąpił zaszczytu podania ręki emirowi. Z kobietami w obecności innych mężczyzn emir w ten sposób się nie wita. Na szczęście wszystkich nas objęło zaproszenie na wieczorną uroczystość na dworze. Kolejno wypowiadamy formułę *Ranka ya dade!* (Obyś żył długo!) i opuszczamy pałac.

Wieczorem zjawiamy się ponownie. Jesteśmy wprowadzeni na dziedziniec pałacywy, na którym stoi trochę krzeseł i foteli, ale najwięcej jest rozścielonych mat dla gości. Zajmujemy miejsca wśród członków dworu – ministrów emira. Jest wśród nich *sarkin gandu* odpowiedzialny za ściąganie podatków, *sarkin busa* – za orkiestrę dęta, *sarkin karma* – dowódca dworskiej piechoty, która w czasach pokoju daje popisy zapaśnicze i pokazy walki na miecze, a nawet *sarkin bayi*, nadzorujący służbę, nazywaną bez żadnych skrpułów niewolnikami.

Uroczystość odbywa się z okazji przybycia na dwór emira Zarii tradycyjnych władców Ibo z Południa. Na honorowym miejscu zasiada Alhayi Shehu Idris na Biyu, obok niego dostojnicy dworscy *shantali* i *shamaki*. Na podłodze, u stóp emira, w tureckim siedzie zajmuje miejsce wezyr. Wszyscy są w tradycyjnych strojach hauszańskich *riguna*. Orkiestra składająca się z bębnów i trąbek zapowiada początek ceremonii. Zjawiają się władcy Ibo. W białych strojach, przypominających szaty chrześcijańskich kapłanów, skromnie ozdobionych kilkoma sznurami koralu, podchodzą do emira. Wymieniają pozdrowienia i przekazują prezent. Gdy kończy się część oficjalna, rozpoczynają się popisy nadwornych muzyków, tancerzy, zapaśników. Goście jedzą suję, piją soki. Ciemne niebo nad głowami i przyjemny chłód wieczoru potęgują wrażenie uczestniczenia w wielkim spektaklu teatralnym.

Tradycyjnych władców hauszańskich nie należy utożsamiać z relikdami przeszłości. Są oni współczesną elitą w pełnym tego słowa znaczeniu. Posiadają dyplomy wyższych uczelni, są zaangażowani w działalność gospodarczą, patronują przedsięwzięciom kulturalnym. Przede wszystkim stanowią jednak władzę opartą na ogromnym autorytecie, władzę uczestniczącą w zarządzaniu krajem na szczeblu regionalnym. Granic ich wpływów nie określają zmieniające się podziały administracyjne kraju, a potędze ich autorytetu nie są w stanie zagrozić kolejne rządy. Źródłem tej władzy należy szukać w przeszłości. *Sarkin* Zarii jest jednym z ważniejszych władców tradycyjnych, funkcjonujących w strukturach określonych przez imperium muzulmańskie z XIX w. Podobnie jak władcy takich miast jak Kano, Sokoto czy Katsina, jest on również spadkobiercą jeszcze wcześniejszych tradycji, odwołujących się do organizmów politycznych zwanych miastami-państwami. W ten sposób idea siedmiu „prawdziwych”, czyli rdzennie hauszańskich ośrodków władzy sprzed wieków, znajduje swoje odzwierciedlenie w czasach dzisiejszych.

Wizytę na dworze emira Kano złożyliśmy podczas dwutygodniowego pobytu w tym największym mieście północnej Nigerii. Kano jest ośrodkiem językowej i kulturalnej

dominacji Hausa, świadectwem długoletniej tradycji i nowoczesnych osiągnięć, a dwór emira Kano można uważać za symbol tych wielowiekowych doświadczeń.

O wyznaczonej porze zjawiamy się całą grupą. Mijamy bramę główną i wchodzimy na pierwsze podwórze. Tu bawią się dzieci, tu mają prawo wstępu żebracy, tu mieszka pośledniejsza służba. Przy drugiej bramie widzimy drzemiących mężczyzn, zastygłych w bezruchu. Dostajemy przewodnika, który zaprowadzi nas do władcy. Za tą bramą jest dziedziniec reprezentacyjny, trzeba przejść około 200 metrów, aby znaleźć się przy wejściu do pałacu. Przy tej bramie nasz przewodnik zdejmuje buty. Prowadzi nas nie środkiem podwórza, ale pod murem z lewej strony. Tylko bardzo ważni goście mają prawo przemierzać dziedziniec środkiem.

Tego dnia na dziedzińcu przed pałacem jest dużo ludzi. Może się wydawać, że za chwilę będą tu kręcić film historyczny. Widać postacie w niedzisiejszych i niecodziennych strojach, w ciężkich pelerynach, z grubymi zwojami turbanów na głowach, a wszystko kolorowe, czasem zdobione haftem czy przetykane złotą nitką. Dominuje czerwień. Z boku stoją rzędem samochody, prawie wyłącznie białe mercedesy. Gdyby zamiast samochodów stały rzędem białe konie, byłaby to naprawdę sceneria sprzed wieków. Konie były bowiem zawsze symbolem prestiżu władców hauszańskich, pokazywano je z dumą podczas wielkich uroczystości. Ich miejsce zajmują dziś mercedesy.

Zbliżamy się do pałacu. Tłum skupia się przy bocznej wnęcie, gdzie siedzi na tronie sam emir Kano w otoczeniu dworskiej świty. Dostojny, nieruchomy, w ogromnym turbanie, ma zakryte usta i nos; widać tylko oczy. Patrzy, nie nawiązując żadnego kontaktu z kłębiącymi się przed nim ludźmi. Co chwila zbliżają się do niego dworscy dostojnicy i w ukłonach wypowiadają formułę: *Ranka ya dade!* Jest piątek, tradycyjny dzień składania hołdów. Ceremonię urozmaicają popisy wędrownych komików *yan kama*; wbiegając w przerwach między oficjalnymi wypowiedziami przed oblicze władcy, wyśpiewują pieśni pochwalne na jego cześć. Dzisiejszą tradycyjną uroczystość składania hołdów połączono z rytuałem mianowania urzędnika dworskiego *hakima*, stąd bardzo świąteczny nastrój. My jesteśmy w tym momencie obserwatorami. Emir przyjmuje nas nieco później w sali przyjęć.

Ado Bayero, *sarkin* Kano, jest potomkiem panującego rodu władców hauszańskich. Gdy wchodzimy do dużej sali tronowej, siedzi w miejscu usytuowanym wyżej niż reszta pomieszczenia; przy nim dwie skrzyżowane włócznie – nieodłączony atrybut władzy. Historia Kano, przechowywana w tradycji ustnej, sięgającej dziesięciu wieków wstecz, dla tych włóźni znajduje całkiem realne uzasadnienie.

Emir przywitał nas, zstępując z podwyższenia i podając każdemu (i każdej) rękę. Opuścił zastonę z twarzy i zadawał niezbyt standardowe pytania, chcąc dowiedzieć się, jak w Polsce będziemy upowszechniać wiedzę o języku i kulturze Hausa. Nadchodzącemu wezyrowi powiedział: „Oni mówią w hausa lepiej ode mnie”. Nawet jeśli to był komplement, to warto było usłyszeć go z ust *sarkin* Kano.

*

Miesiąc postu muzułmanów to czas zupełnie normalnej pracy i nauki na uczelni. Nie zmieniają się godziny zajęć, nie odwołuje się spotkań. Jednak życie toczy się jakby na zwolnionych obrotach. Ludzie są bardziej milczący, nawet ospali, zdarza się, że ktoś za-

słabnie. Trudno się temu dziwić. Wytrzymać cały dzień w upale nie tylko bez jedzenia, ale nawet bez picia, jest na pewno wyrzeczeniem. Nikt jednak nie narzeka, nie dyskutuje ze świętym prawem.

Akurat w czasie ramadanu udało się nam zorganizować wyjazd do Maiduguri. Zamówiliśmy taksówkę, której kierowcą miał być Alhaji Idris, polecony nam jako solidny i niezawodny członek zrzeszenia prywatnych przewoźników. W umówionym dniu zjawili się punktualnie o 6 rano. Mieliśmy do przejechania 800 km. Mknęliśmy po prawie pustej drodze prowadzącej przez niemal pustynną krainę. Od czasu do czasu na drogę wchodziło stado bydła albo wbiegała spłoszona koza. Alhaji Idris spokojnie reagował na wszystko, co zmieniało rytm pędzącego z ogromną prędkością peugeota. Nic nie mówił, nie próbował nawet z nami nawiązać konwersacji. Nie zatrzymał się na postój, nic nie jadł, nic nie wypił. Jego też obowiązywał post. Wczesnym popołudniem byliśmy na miejscu.

Maiduguri jest dużym, dość nowoczesnym miastem, wyrosłym na skraju pustyni. Mięszka tu głównie ludność z grupy etnicznej Kanuri, ale językiem powszechnie używanym jest hausa. Na ulicy wyróżniają się kobiety, które w charakterystyczny sposób upinają kępkę włosów nad czołem lub uchem. Elegantki noszą duży kolczyk w prawym uchu i mały w prawym nozdrzu. Często mają przebarwione na czerwono zęby od przeżywanych orzechów kola.

W programie naszego pobytu w Maiduguri jest wycieczka do Gwoza, malowniczej osady u podnóża pasma górskiego Mandara. Jest z nami profesor Piłaszewicz, afrykanista z Uniwersytetu Warszawskiego, który pracuje na Uniwersytecie w Maiduguri jako wykładowca literatury i języka hausa. Towarzyszy nam także nigeryjski kolega z Zakładu Językoznawstwa Aliyu Muhammad. Wspinamy się w upale, podziwiając piękne widoki. Przychodzi czas na odpoczynek. Siadamy pod drzewem, wyciągamy przygotowane na drogę napoje i jedzenie. Nasz afrykański towarzysz podróży oddał się. On nie będzie ani jeść, ani pić. Jemu nie wolno nawet przełknąć śliny.

Podczas tej górskiej wyprawy zaczęłam zastanawiać się, co oznacza współistnienie kultur i jaka jest granica kompromisu.

*

Żeby ustrzec się przed ciężkimi chorobami tropiku, malarią i amebiozą, mieliśmy pamiętać o dwóch podstawowych przykazaniach: łykać tabletki z chininą i dezynfekować surowe owoce. Do spełnienia drugiego zalecenia najlepiej nadawał się milton, bezbarwny płyn, który należało rozcieńczyć w wodzie i w tak przygotowanym roztworze trzymać owoce przez 20 minut. Dostaliśmy dużą butlę z miltonem od jednego z Polaków, który likwidował swój dobytek przed wyjazdem do kraju.

Zawierzaliśmy miltonowi i każda partia przyniesionych owoców musiała najpierw być poddana rytualnemu moczeniu w dużej misce, czyli – jak mówiliśmy – miltonowaniu. Czekaliśmy z zegarkiem w ręku na uprawomocnienie się zakupu bananów, grejpfrutów, ananasów, także pomidorów. Nie mieliśmy poważniejszych kłopotów ze zdrowiem i uznaliśmy to, między innymi, za dobrodziejstwo miltonu.

Kiedy przyjechaliśmy do Kano i zamieszkaliśmy w polskim konsulacie, zostaliśmy hojnie obdarowani owocami. Pani konsulowa dołączyła do nich niewielką buteleczkę

z miltonem, upewniając się, czy wiemy, jak go używać. Zabraliśmy się za miltonowanie. Od razu poczuliśmy silny zapach, którego nasz milton z Zarii nie posiadał. Trochę nas to zaniepokoiło i zaraz po powrocie zaczęliśmy wąchać ten płyn, którego do tej pory używaliśmy. Ponieważ wątpliwości pozostały, udaliśmy się do specjalisty chemika, Polaka mieszkającego w kampusie. Diagnoza pana Werblińskiego była jednoznaczna: to nie milton, to woda. Znaczyło to, że przez trzy miesiące rozpuszczaliśmy wodę w wodzie, żeby zabić groźne zarazki. Najważniejsze, że pomogło.

*

Zainteresowałam się szczególnie zajęciami, które dotyczyły języka hausa i zagadnień językoznawczych. Są wśród nich zajęcia z fonetyki. Prof. Rabi'u Zarruk rysuje na tablicy schemat narządów mowy, objaśnia sposób artykulacji spółgłosek i samogłosek, dzieli i nazywa je, stosownie różnicując. Wyjaśnia pojęcie fonemu, długości samogłosek, tonu. Wszystko po hausa, w języku, w którym całkiem niedawno stworzono odpowiednią terminologię na potrzeby takiego właśnie opisu. Nie jest ona prostą adaptacją terminów angielskich, częściej odwołuje się do pojęć rodzimych, poszerzając ich pojemność znaczeniową, równie często do określeń arabskich. *Aikatau* znaczy „czasownik”, *jimla* „zdanie”. W ten sposób upowszechniło się wiele nowych terminów w innych dziedzinach. „Płyta gramofonowa” nazywa się tak samo jak „talerz” (*faifai*), określenie „dyskusja” odwołuje się do pojęcia „przeżuwanie” (*tattauna*). Charakterystyczne jest, że wiele określeń powstaje na zasadzie złożenia z wyrazów istniejących w języku; ich połączenie tworzy nowe znaczenie. Właśnie tutaj, na studiach hausanistycznych, upowszechnia się terminologię stworzoną przez naukowców zajmujących się standaryzacją i normalizacją hausa i mającą na celu przystosowanie języka do potrzeb współczesnej komunikacji. Powstają słowniki terminów literackich, językoznawczych, terminologii naukowo-technicznej. Ile z tych terminów przetrwa konfrontację z rygorami języka naturalnego, pokaże czas.

Pytam studentów, czy podoba im się to, że zajęcia na uczelni prowadzone są w języku hausa.

– Oczywiście, to nam znacznie ułatwia przyswajanie wiedzy, nie ma dystansu między prowadzącym a studentami.

– A czy inne przedmioty, np. chemia czy matematyka, też mogłyby być prowadzone w hausa?

– Tak, ale jeszcze nie mamy nauczycieli, którzy mogliby takie zajęcia poprowadzić. Jednak w niedalekiej przyszłości z pewnością to nastąpi.

Pytam też studentów, co będą robić po skończeniu nauki. Garba Musa, student ostatniego roku, mówi, że na rok pójdzie do wojska (używa sformułowania „rok służby dla kraju”). Potem poszuka pracy. Znajdzie ją albo w szkole, albo w rozgłośni radiowej nadającej programy w języku hausa, może w telewizji czy wydawnictwie. Najchętniej jednak pojechałby do innego kraju, gdzie mógłby uczyć hausa. Do Polski też miałby ochotę przyjechać.

Próbuję dociec, jak dalece szkoły, w których hausa jest przedmiotem nauczania, wspierają rozwój języka i dają szanse na spełnienie prognoz studentów hausanistyki. Wyniki

ankiety przeprowadzonej wśród uczniów są nad wyraz jednoznaczne. Hausa jest najważniejszym językiem kontaktów międzyludzkich w tej części Nigerii. W tej roli język nie potrzebuje promocji czy wsparcia, ale przeszkodę w jego rozwoju stanowi to, że jest on głównie językiem mówionym, bez wykształconych nawyków stosowania go w piśmie. Absolwenci hausanistyki mają wielkie pole do działania, nie wiadomo tylko, czy uda im się w tym wytrwać.